

Jadwiga Gawlak

Wspomnienia z Syberii

Rocznik Chojeński 1, 115-136

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA Z SYBERII¹

Wstęp

Zawsze pragnęłam przekazać swym ukochanym dzieciom, wnukom oraz znajomym wspomnienia ze swego ciężko przeżytego na Syberii dzieciństwa.

Represje roku 1940 dotknęły Polskę bardziej, niż cokolwiek innego. Zniszczyły wygodę życia, którą wielu ludzi uważało za rzecz daną raz na zawsze.

Nigdy nie opuściła mnie wewnętrzne przeświadczenie, że ówczesne władze Związku Radzieckiego postąpiły wobec Polski i całego Narodu Polskiego szczególnie wrogo. Każdy szczegół związany z doznaną krzywdą analizowaliśmy wraz z rodzeństwem na swój dziecinny sposób. Oczekiwaliśmy odpowiedzi na zadawane często rodzicom pytanie: - Dlaczego tak nas oszukano?

Spośród ośmiorga rodzeństwa ja, dwóch braci oraz najmłodsza siostra byliśmy wówczas małymi dziećmi. Nie rozumieliśmy przemian, jakie dokonywały się na naszych oczach. Te sześć i pół roku pobytu na Syberii były okrutną szkołą życia. Los nie szczędził nam gorzkich doświadczeń. Głód, nędza, ciężka przymusowa praca, zimą – mróz i głęboki śnieg, w którym kopaliśmy tunele do przejścia, wiosną – wysoka woda, latem – miliardy komarów, pluskiew i tarakanów, które żarły nas do krwi, niczym gryzonie – to była gehenna.

¹ Wspomnienia spisane w 1994 roku. Fragmenty zostały opublikowane na łamach Gazety Chojńskiej (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji). Autorka używa określeń „Syberia”, „Sybir” zamiennie ze słowem „zesłanie w głąb ZSRR”. Archangielsk oraz lagry obwodu archangielskiego leżą w rzeczywistości nad morzem Białym.

Gdzieniedzie slychać bylo ostry krzyk NKWDzisty. Te oschle slowa utkwily w naszych uszach i tkwia do dnia dzisiejszego.

To wszystko doprowadzalo czlowieka starszego i mlodego do najwyzszych granic wytrzymalosci oraz wewnetrznego buntu przeciwko temu, czego doznala istota ludzka na syberyjskim wygnaniu.

Rodzice tłumaczyli nam, ze koniecznie musimy przewyciżyć cierpienie, a czas zagoi nasze rany. Matka Boska jest naszą patronką i czuwa nad swym Polskim Narodem.

Spisujac te wspomnienia nie moglam pominac trudnych, mlodzienczych lat, przezytych wspólnie z rodzeństwem na wygnaniu.

Codzienne okolicznosci naszego zycia, kazdej chwili, kazdego dnia byly nam zeslane przez szczegolną Opatrzność Boską.

To co staralam się przedstawic na kartach swych wspomnień jest jednak faktem wskazujacym, ze wiara podtrzymywala nas we wszystkich doświadczeniach. „Jak zdołalismy przeżyć z całą rodziną?”. I tylko jedno ukojenie dla naszych zbolalych serc: nigdy więcej tego koszmaru, nigdy więcej tego najgorszego nieszczęścia czlowieka – nigdy więcej wojny!

Wspomnienia z Syberii

Moje wspomnienia z pobytu na Syberii są smutne i ponure. Jak wiele innych polskich rodzin, tak i moja zostala wywieziona w głąb Związku Radzieckiego.

Doświadczyliśmy Syberii tylko dlatego, ze tatuś mój był osadnikiem wojskowym na Polesiu. Za udział w wojnie polsko-bolszewickiej otrzymal 25 ha ziemi w Popielewie.

Podczas walk w okolicach Nowogródka powierzono mu specjalne zadanie. Miał wraz z czterema innymi żołnierzami zdobyć informacje na temat przeciwnika, którego sztab mieścił się na wieży zamku w Nowogródku. Tatuś zrezygnowal z pomocy swoich kolegow – zadanie wykonal samodzielnie. Pod osłoną nocy i po starannej obserwacji postanowil wejść na wieżę w celu obezwładnienia wartowników. Z narażeniem zycia zdobył punkt obserwacyjny i wzial do niewoli dwunastu żołnierzy Armii Czerwonej, wyczerpanych i zmęczonych. Ujął ich bez jednego wystrzalu. Wówczas Wojsko Polskie wkroczylo do Nowogródka zajmujac miasto i zamek.

W 1920 roku za ten bohaterski czyn mój tatuś na wniosek swego dowódcy otrzymal Krzyż Virtuti Militari z rąk majora Szeptyckiego.

Po zakończeniu wojny oženil się z piękną kobietą, którą porwal z klasztoru sióstr Niepokalanek pod Warszawą. Mama pochodziła z bogatej rodziny (hrabiowskiej) Pochmarów. Razem z tatusiem pobudowali piękny, duży dom

z drzewa dębowego, budynki gospodarcze dla trzody chlewnej i bydła, stajnię dla koni oraz stodołę. Prowadzili również hodowlę owiec. Całość gospodarstwa usytuowana była w pobliżu szosy Napoleona.

Mam była zaradną gospodynią. Z owczych skór szyła pięknie ozdobione kozuchy, na krosnach tkala lniane płótno, z którego później wytwarzała obrusy, ręczniki, pościel i bieliznę.

W wolnych chwilach uczyła moje siostry wyszywania i przedzenia wełny na kołowrotku. Wytwory swojej pracy sprzedawała wraz z mięsem kupcom w Białowieży i Prużanie. Tym samym zarabiała na potrzeby gospodarstwa i domowników oraz na przybory szkolne dla dzieci.

Rodzice byli bardzo szanowani oraz lubiani przez miejscową i okoliczną ludność. Utrzymywali kontakty w wyższych sferach. U rodziców był taki zwyczaj, że podróżnych nie wyróżniali nigdy, czy to był biedny czy bogaty. Tak samo byli traktowani chłopci jak i żebracy. Każdy otrzymywał chleba z masłem, wody i mleka do popicia lub serwatki.

Tatuś był dobrym, zaradnym gospodarzem. W obrębie gospodarstwa wykopał staw rybny. Zasadził młody las brzoźowy i świerkowy na własne potrzeby. Zasadził również młody sad, aby nie brakło owoców dla rodziny. W gospodarstwie były też dwa duże psy: Tumryk i Mopsik.

Rodzice zawsze tłumaczyli nam, że modlitwa, nauka i praca uszlachetniają człowieka.

W 1936 roku, kiedy zakwitły jabłonie przyszedłem na świat jako siódme dziecko w rodzinie. Miałam już trzy siostry i trzech braci. Oni chodzili do szkoły. Starsi bracia pomagali tatusiowi w obrządki bydła i koni, a siostry przędły wełnę wieczorami na kołowrotkach, robiły swetry, rękawiczki, szale, czapki i skarpetki na drutach dla całej rodziny.

W gospodarstwie było też dużo drobiu: kury, indyki, kaczki i stada gęsi. Mamusia sama szyła pierzyny oraz poduszki nawet na sprzedaż.

Przypominam sobie jak przez mgłę i z opowiadań rodziców, że w dniu 10 lutego wydarzyło się coś, co pamiętać będziemy przez całe życie². W tym dniu, gdy jeszcze wszyscy spali przyszli sowieci. Obudziło nas głośnie ujadanie psów, a po chwili walenie do drzwi i okien. Rodzice wyrzeli przez okno i zobaczyli, że na podwórzu stały zaprzęgi konne i żołnierze, którzy domagali się otwarcia drzwi. Tatuś był na tyle opanowany, że nie stracił głowy. Chwycił z szuflady legitymację *Virtuti Militari*, porwał ją i zjadł, bo na spalenie nie było już czasu. Żołnierze krzyčeli coraz głośnie i natarczywiej, szarpali drzwi wołając: „Otwieraj bo będziemy strzelać!”.

² W nocy z 9 na 10 kwietnia nastąpiła pierwsza deportacja ludności polskiej, która objęła wybrane grupy społeczne: leśników i osadników.

Gdy tatuś otworzył drzwi, do mieszkania wtargnęło sześciu żołnierzy. Jeden był ubrany w czarny, długi płaszcz, a na głowie miał czapkę Kubankę, z czerwonym krzyżem³. My, młodsze dzieci zaczęliśmy krzyczeć, że to diabeł! Rodziców pchnęli do kąta, a nas, dzieci, śpiące i wystraszone ustawili pod ścianą. Zrobił się pisk i jęk w całym mieszkaniu! Następnie zrobili rewizję, podczas której wszystko poprzewracali. Krzyczeli do nas: „Małczat !” (co znaczy „Milczeć”).

Rodzice z płaczem prosili ich, żeby powiedzieli, czego szukają w tak brutalny sposób, ale oni zostawili dwóch żołnierzy z bronią a sami poszli do stodoły. Również w chlewach czegoś szukali ale nic nie znaleźli.

Tatuś spytał tych, którzy pozostali: „Kim wy jesteście?” Jeden w pośpiechu szepnął – „NKWD, szukają broni, bo ty osadnik wojenny Piłsudskiego”. Ponieważ w oborach też nic nie znaleźli, byli bardzo źli. Mówili: „Ty bogacz, wszystko masz”. Jeden z NKWDzistów wyjął jakąś kartkę i zaczął czytać po rosyjsku. Rodzice prosili by im powiedzieli, co ten papier zawiera, co on znaczy i dlaczego tak nas poniewierają? NKWDzista w długim płaszczu krzyknął i tupnął aż wszystko zadrżało: „To jest rozkaz Stalina aby wywieźć stąd Polaków przed napaścią Niemców na Polskę!”⁴. Powiedział, że dają nam 15 minut na zabranie prowiantu, odzieży. Uwolnił rodziców z uwięzi i kazał nam się spieszyć, aby przed świtem ruszyć w drogę. Rodzice chwycili nas w ramiona mówiąc, że my się nigdzie stąd nie ruszymy. To jest wszystko nasze i nikomu tego nie zostawimy. Wypracowaliśmy to wszystko krwią i pracą i to jest nasz dom. NKWDziści zaczęli nas popychać i zapowiedzieli, że jeśli nie zastosujemy się do ich rozkazu, to mają prawo zabić „rebiata” (dzieci) pod ścianą na oczach rodziców. Powstał straszny krzyk, słychać było wprost nieludzkie głosy. Sąsiedzi myśleli, że ktoś nas morduje. Kto jednak przybiegł na ratunek, temu NKWDzista groził pałą i krzyczał: „Udzieraj bo ubiju!”.

Starszy NKWDzista cisnął tym papierkiem w twarz tatusiowi i powiedział: „Zdies napisane, Sawiecki Leopold ty bogacz, legionista, syn piłsudczyka. Tępier poniał ty – sabiraj sia bo u ciebie mnogo rebiat. Nada zabrat prowiant i tiopłyje rubaszki”.

Rodzice zrozumieli, że to już koniec wszystkiego. Nastaną okrutne dni, miesiące a nawet i lata! Zawładną nami bieda i nędza, które zbierać będą te nasze kochane istoty! Zaczęli szybko wyciągać co tylko mieli w spiżarni i ładować w worki, a więc: słoninę i wędzone wyroby, mąkę, kaszę, ciepłe swetry, kożuchy i koce a także bieliznę, pierzyny i poduszki. Wszystko to chwyтали w pośpiechu aby jak najwięcej zabrać, ale NKWDzista nie pozwolił tak dużo brać ze sobą.

³ Zapewne chodzi o czerwoną, pięcioramienną gwiazdę.

⁴ Fragment niejasny, atak Niemiec na Polskę nastąpił pół roku wcześniej.

Wskazał tylko, że można wziąć 2 kozuchy, 3 koce, 3 poduszki i 1 pierzynę bo są małe dzieci i mogą zamarznąć podczas drogi. Bracia chwycili duży bak pełen smalcu i zaciągnęli go na sanie, bo przecież nikt nie mógł wiedzieć, jaka czekała nas droga – bliska czy daleka!

NKWDziści wrzucili nas, dzieci, na sanie i przykryli na słomie pierzyną. Dwóch usiadło przy nas, braci i siostry umieścili na drugich saniach, a rodziców z bagażem na trzecich. Potem odwozili nas pod bagnietami w kierunku Prużan. Rodzice bardzo przeżywali, że już nigdy nie zobaczą się z najstarszą córką, Polą, która przebywała u rodziny mamy w Warszawie.

NKWDziści wołali, by szybciej ruszać nim świt nastanie. Ruszyły podwody, słychać było straszliwe ryczenie krów, rżenie koni, a psy to już nie szczekały tylko wyły, bo czuły, że ich gospodarze odchodzą na zawsze. Ludzie, którzy pozostali, bo nie wszystkich wywożono a tylko wybranych przez NKWD, wychodzili na drogę żegnając nas i życząc szczęśliwego powrotu.

Zawieziono nas do miasta Prużany pod kościół, gdzie już były inne rodziny z okolicznych miejscowości. Tatuś dyskretnie poprosił księdza – podając mu adres – by powiadomił rodzinę Białymstoku, aby przyjechali na gospodarkę, bo my zapewne już tu nie wrócimy. Ksiądz obiecał zawiadomić i pobłogosławił naszą rodzinę, aby Bóg miał nas w swojej opiece.

Wszystkich zebranych trzymano w kościele, z którego zrobili punkt zbiorczy, przez cały tydzień. Księża i siostry zakonne podawały nam skromne posiłki. Po tygodniu wywieziono nas z całym transportem na stację kolejową Baranowicze. Pociągi stały już przygotowane. Trzeba było się spieszyć i trzymać się swojej gromadki. NKWDziści rozkazywali, aby się szybko ładować do wagonów towarowych. Każdy wagon był brudny, stary, z dwoma zakratowanymi okienkami. Po obu stronach tego wagonu były okropne prycze ze starych desek uścielone słomą. Prycze były piętrowe. Do jednego wagonu załadowano całą naszą rodzinę i jeszcze dokwaterowano 8 rodzin. Ponieważ byliśmy wielką i różnego wieku rodziną (rodziną wielodzietną 10 osób), przydzielono nam piętrowe prycze i kąt pod pryczami. Mamusia przykryła nas pierzyną i poduszkami aby które z nas nie spadło i aby było ciepło. Na środku wagonu stał mały, żelazny piecyk, a przy nim wiadro z węglem i kilkoma kawałkami drewna na rozpałkę. W ciemnym kącie przy drzwiach wyrąbany otwór w podłodze, który miał służyć jako ubikacja. Wtłoczono nas do wagonu upchanych jak zwierzęta, różnych ludzi o różnych charakterach. Każdy był przytłoczony smutkiem i nienawiścią.

W każdym tak zagospodarowanym wagonie było razem około 50 osób. Rodziny, które mogłam zapamiętać z opowiadań rodziców i rodzeństwa to: Habowski z 6-osobową rodziną, Staniszczak – 6 osób, Drewnowski – 4 osoby, Zalewski – 5 osób oraz my – 10 osób. Wiele innych rodzin już nie pamiętam.

W każdym wagonie było po dwóch NKWDzistów stojących przy drzwiach z karabinami na plecach.

Było też pewne małżeństwo; on był soltysem, mieli dwoje dzieci – jedno starsze, drugie malutkie. Mogło mieć 2 latka i było chore, bo wciąż płakało przez dzień i noc. Jego matka nie miała już sił ani nie mogła uspokoić tego dziecka do czasu, aż nagle głos jego ucichł na zawsze. Ludzie byli przerażeni tym co się stało, jako że nie było słyhać płaczu dziecka gdyż ono już nie żyło! Matka dziecka zaczęła bardzo płakać: „Co teraz robić, jak pochować to dzieciątko?”. NKWDzista zaczął na nich krzyczeć, żeby nie robili zamieszania. Powiedział: „Stanie transport po wodę to rebionka zabiorą stąd...”. W wagonie zapanował szum i narzekania: „Dlaczego ci ludzie są tak okrutni wobec rodziców zmarłego dziecka?”. Powstała wrzawa bo nikt nie zna godziny ani dnia. Co może stać się z nami wszystkimi...?

Pociąg, pędzący jak widmo jechał bardzo długo, a strach przenikał nas wszystkich. Po czterech dniach jazdy zatrzymał się wreszcie. Ludzie błagali NKWDzistów o możliwość pochowania dziecka. Wtedy jeden z NKWDzistów chwycił zawiniątko z trupkiem i podał drugiemu, a z wagonu nie miał prawa nikt wyjść.

Były to nasze pierwsze doznania bólu zadanego człowiekowi przez człowieka. Do następnego postoju podróż była tak długa, jakbyśmy jechali przez zimę, lato, jesień i znów zimę. Wiatr wiał niemiłosiernie, wciskając się szparami do pędzącego widma pociągu, a ziąb usztywniał ciała ludzkie. Piecyk, który stał na środku nie był w stanie ogrzać całego wagonu. Każdy, kto był silniejszy wyciągał zziębnięte ręce, aby chwycić dłońmi odrobinę ciepła. W wagonie słyhać było coraz częściej tu i ówdzie po kątach jęki chorych ludzi. Mamusia wspomagała biednych ze swoich zapasów. Podawała posiłki chorym i leki, jakie tylko miała. Dawała ciepłą odzież tym, którzy jej najbardziej potrzebowali.

My gromadką siedzieliśmy na pryczach, owinięci w koce i pierzynę, a starsi mężczyźni musieli trzymać się blisko NKWDzistów, którzy jechali przez całą drogę. Ludzie śpiewali głośno „Boże coś Polskę...” to NKWDziści przerywali i krzyczeli, że za karę nie dadzą nam gotowanej wody, lub doniosą głównemu komendantowi transportu. Ludzie zaczęli się bać, bo wiedzieli jakie konsekwencje mogą z tego wyniknąć, bo każdy został oderwany od swego życia. Wszystko co robią NKWDziści jest przestępstwem, zmierzającym do ujarzżenia niewinnych ludzi.

Mamusia powiedziała: „Nie obawiajcie się niczego, bo nie ma męki większej od tej, w której teraz jesteście”. Na te słowa NKWDzista krzyknął do mamy: „Milczeć!”. To wszystko było tak poniżające, tak upokarzające, że niektórzy przestawali myśleć o sobie jako o ludziach. W piecyku dopalał się węgiel

i zachodziła obawa, że nie będzie czym palić. Więc kto był silniejszy fizycznie, ten łamał deski z prycz by ratować ogień i ciepło. Transport zatrzymywał się bardzo rzadko, NKWD wydzielili trochę węgla – odetchnęliśmy z ulgą, gdy otwierano wrota więziennego wagonu, że wreszcie ujrzemy światło dzienne. Po miesiącu transport nasz osiągnął cel. Przywieziono nas do miejscowości Hałmogony w Archangielsku. Tu wśród śnieżycy pustyni z lasami na horyzoncie, przetransportowano nas jak również pozostałe rodziny na saniach i wysłano każdą w inną stronę w głąb Syberii w okolice Archangielska.

Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów podano nam kipyatok (gorącą wodę). Zawieziono nas do miejscowości, gdzie była ciągła pustynia i lasy, a gdzieś tam baraki gliniane przeplatane drewnem. Ulokowano nas w jednym z baraków, w dużym pomieszczeniu, jako że nasza rodzina była największa. Na środku tej izby stał duży stół z szerokimi ławami, a pod ścianami stare, żelazne łóżka, na których leżały sienniki ze słomą. Otrzymaliśmy kartki żywnościowe na zupę i chleb razowy. Dzieci do 12 roku życia otrzymały po 200 g chleba, a pracującym dali po 400 g oraz litr zupy, tzw. muczonki lub zupy z głową od śledzia.

Tatusz pracował w kamieniołomach z bratem Zygmuntem, a Mietek z mamusią wozili ziemię taczkami. Warunki życia były bardzo prymitywne jak również mieszkaniowe. Mamusia zawsze musiała trzymać wszystko w porządku choć sama ciężko pracowała, to zawsze czuwała, by w naszym pomieszczeniu było przytulnie. Najgorzej było, gdy wszyscy po ciężkim dniu pracy kładli się spać. Wtedy ze ścian baraku i ze słomy wylaziły chmury robactwa i gryzły nas do krwi razem z wszami. To było coś niesamowitego! Rodzice wyznaczali kolejność dyżurów nocnych, w czasie których palono drzazgi i oczyszczano z robactwa legowiska tych, którzy odpoczywali. Niestety, przed robactwem nie było ratunku, wlażyło wszędzie – do ust i do nosa, oblażyło całe ciało i gryzło do krwi. Mamusia często nie dospała, czuwając, aby nie spotkała nas krzywda, aby nikt nie załamał się fizycznie i psychicznie, choć sama opadała z sił. Chodziła późną jesienią z moją starszą siostrą i bratem Mietkiem, by zbierać zgnile ziemniaki, pozostałe po wykopkach w polu. Musiała to robić tak, by nikt nie zobaczył, bo NKWD surowo karało. Zebrane zgnile ziemniaki myła kilka razy, dusiła je, dodawała trochę mąki i piekła na płycie pieca placki zamiast chleba, którego nie było pod dostatkiem. Mama wciąż była wyczerpana i przemarznięta, zaczęła więc nam chorować. Z dnia na dzień było coraz gorzej, gorączka nie ustępowała. Chorobę mamy odczuliśmy bardzo ciężko, ale mieliśmy obok dobrych ludzi, nawet tutejszych ruskich. Powiedzieli nam, że jest tu taka „doktor” Ludmiła, znachorka, która leczy wszystkie choroby ludzi. Tatusz zaprosił tę panią Ludmiłę, a gdy zbadła matkę, to zaraz powiedziała, że jest ciężko chora na zapalenie płuc, a może gruźlicę, a my na kurzą ślepotę. Ogarnął nas wszystkich wielki strach na

widok choroby mamusi. Pani Ludmiła nie pozwoliła nam się jednak załamywać, bowiem mamę trzeba ratować, a tym ratunkiem jest psie mięso i mózg z psa. Wskazała nawet miejsce gdzie można to kupić. Mówiła: „Będzie to drogo kosztować, ale za wszelką cenę musicie zdobyć tego psa. Jest człowiek w drugiej wsi, który pilnuje bydła i ma psy, nazywa się Koniuch”.

Tatuś z moim bratem i siostrą Lilą ruszyli po zdobycz dla ratowania życia mamusi i nas od kurzej ślepoty. Gdy dobrnęli do tego starego człowieka, obrzucił ich smutnym wzrokiem i szorstko spytał: „Kim jesteście i skąd przybywacie?”. Tatuś powiedział, że są Polakami i mają chorą na gruźlicę matkę a dzieci na kurzą ślepotę. Koniuch zażądał kozucha, który nosił brat i dwóch sztuk płótna lnianego, tzn. dwóch prześcieradeł. Potem zaraz zabił psa, ściągnął z niego skórę a mięso zapakował i dał tatusiowi, który je przywiózł do nas na sankach.

W domu czekała już pani Ludmiła. Nagotowała szybko rosółu i mięsa oraz przyrządziła mózg do zjedzenia. Mamę nakarmiła rosółem i mięsem, a następnie kazała dawać chorej ten rosół przez cały dzień. Nas wszystkich obdzieliła psim mózgiem i jeszcze zostawiła na kilka posiłków. Po tygodniu kuracji mamusia czuła się lepiej. Było więc nam weselej, bo mogła z nami rozmawiać, jak przedtem.

Tatuś był przemęczony ciężką pracą w kamieniołomach. Nadzór NKW-Dzistów doprowadzał go do szału. Był już u kresu sił, tak że pewnej nocy namawiał mamusię, ażeby wspólnie podpalić to robaczywe gniazdo rodzinne, by się na zawsze skończyły nasze cierpienia. Tymczasem kurza ślepotą nie ustępowała tak szybko, a na dodatek wkrótce zachorowaliśmy na dyfteryt. Wszystko to razem czyniło nasze życie koszmarem, ale mamusia tak bardzo nas kochała, że nie pozwoliła tatusiowi popełnić samobójstwa. Ciągle nam tłumaczyła, że Matka Boska nas uratuje od tych nieszczęść i wrócimy szczęśliwie do naszej ukochanej Ojczyzny.

Gdy już wróciliśmy do zdrowia, to wybiegliśmy na spotkanie tatusiowi gdy go NKWD prowadziło z roboty do domu wraz z innymi robotnikami. Każde z nas starało się wtedy zaoszczędzić choć kawałek chleba, czy kartofla, aby podkarmić tatusia by nie padł z głodu gdzieś po drodze w śniegu.

Pewnego dnia czekaliśmy przy drodze długo wraz z mamusią, która już nie pracowała przez swoją chorobę. Nie mogliśmy się jakoś doczekać tatusia. Wracały inne grupy a ojcowej nie było. Gdy mamusia zapytała NKWDzistę, gdzie jest nasz ojciec, ten nam odpowiedział ironicznie, że może już nie wróci, bo go wzięli na komendę NKWD. Był wtedy mroźny dzień, dochodziło nawet do -41°C. Mamusia przytuliła nas do siebie, i tak wracaliśmy pogrążeni w smutku, a mamusia szeptem wymawiała słowa: „dlaczego musi nas prześladować taka krzywda na każdym kroku? Czyż nie ma Boga? Czyżbyś ukarał, Boże, mój los, za to, że zламаłam śluby zakonne za młodu?”.

Tuliliśmy się coraz bardziej do mamusi i wołaliśmy, by już nie płakała i nie obwiniała siebie, bo my też jesteśmy obciążeni grzechami. Tak szliśmy szlochając, aż łzy zamarzały nam na policzkach, do naszej ubogiej izdebki, gdzie było ciemno i zimno. Zaczęliśmy się gorąco modlić do Matki Boskiej, aby tatuś wrócił żywy i zdrowy, by nie spotkała go żadna krzywda. I tak zmęczeni usnęliśmy...

Późną nocą dobiegły nas z dala jakieś krzyki i śpiewy oraz dźwięk dzwonek u koni przy saniach. Mamusia szepnęła do nas: „Dzieci, coś tam jedzie w kierunku naszej chaty. Widać ludzi siedzących na saniach”. Wtedy usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Mamusia spytała: „Kto tam?”. Wtedy usłyszała głos tatusia: „Otwórz, to ja i moi towarzysze...”. Mama otworzyła drzwi i o mało nie zemdląła, gdy ujrzała tatusia całego i żywego. Razem z nim weszło sześciu NKWDzistów, którzy wnieśli do chaty worki z prowiantem. Było tam 10 bochenków chleba, worek solonej słoniny, worek mąki kukurydzianej, cukier i mleko w proszku. Bardzo się cieszyliśmy, aż płakaliśmy z radości, że nareszcie nie będziemy głodować. Spytałismy tatusia, czy ci panowie już go nam więcej nie zabiorą?

NKWDziści byli przerażeni widząc tak wieloosobową rodzinę w tak okropnych warunkach życia i kupę słomy, w której młodsze rodzeństwo spało, a my wystraszenie siedzieliśmy. Okazało się, że jeden z NKWDzistów był właśnie jednym z tych dwunastu żołnierzy wziętych do niewoli przez tatusia podczas oblężenia Nowogródka w 1920 roku⁵. Powiedział do mamy: „Ot, gdyby twój muzyk był sukinsyn, to ja by jemu ubił kak sabaku srazu”. Co znaczyło: „Gdyby twój mąż był psem, to ja bym go zabił jak psa”. „Ale on jest naszym spasicielem...”. Zabierając do niewoli 12 żołnierzy Armii Czerwonej nie znęcano się nad nimi tylko zostali wykorzystani w pralniach wojskowych, przy kopaniu rowów.

Komendant NKWD po rozpoznaniu tatusia ogłosił wielkie święto, mówiąc: „Mamy tu człowieka, który uratował naszym żołnierzom życie, a sam jest dziś w niewoli, przy ciężkiej pracy w kamieniołomach”. NKWDziści odjeżdżając powiedzieli, że od dnia dzisiejszego będziemy mieli lepsze życie. Obiecali lepsze warunki zamieszkania i to, że starszym dzieciom dadzą lżejszą pracę i większy przydział chleba.

Gdy NKWDziści odjechali mamusia napiekła placków z mąki kukurydzianej, rozprowadzając ją mlekiem z wodą. Cała gromadka zasiadła wokół stołu i ze łzami w oczach i wielką radością w sercu zjadaliśmy te placki, popijając je mlekiem. Boże, ile w tym było radości! Ile szczęścia! Prosiłismy tatusia, aby opowiedział nam, jak to się stało, że mamy tyle jedzenia i nikt go nie goni do pracy?

⁵ Zob. wyżej.

Tatuś zaczął opowiadać, że przez dłuższy czas NKWDziści obserwowali każdy jego ruch przy pracy w kamieniołomach oraz sprawdzali z kim rozmawiał i o czym. Aż w pewnym momencie tatuś zemdlął z wysiłku i przez dłuższy czas nikt nie podchodził do niego, bo inni robotnicy bali się nieść mu jakąkolwiek pomoc. Gdy przyszedł do siebie usiadł i natarł sobie twarz śniegiem, jedząc go nawet trochę. Gdy już poczuł się lepiej podszedł do niego jakiś NKWDzista i zapytał kim jest i skąd pochodzi? Tatuś bał się początkowo przyznać kim jest, ale NKWDzista nie dał za wygraną tylko kazał mu sobie przypomnieć. Po kilku dniach znów nawiązał rozmowę z tatusiem, nalegając by przypomniawszy sobie jego twarz i czy nie był gdzieś na froncie w 1920 roku? Okazało się, że to on rozpoznał tatusia już wcześniej, tylko nie chciał zdradzić, gdzie go widział. Tatuś więc musiał sam powiedzieć w jakich okolicznościach się spotkali.

I tak tatuś nie miał wyjścia – opowiedział NKWDziście, że brał udział w wojnie światowej⁶ walcząc w okolicach Nowogródka. Tam podczas oblężenia zamku wziął do niewoli dwunastu żołnierzy. NKWDzista aż krzyknął gdy usłyszał te słowa i chwycił tatusia w ramiona. Robotnicy, pracujący obok, a było ich 50-ciu, stanęli jak posągi ze zgrozą na twarzach, widząc, że NKWDzista rozpoznał tatusia. Pomyśleli chyba: „Teraz czeka go ciężkie więzienie, Kameczatka lub kara śmierci w obliczu nas wszystkich!”. A tymczasem NKWDzista ogłosił alarm poprzez uderzenie w dzwon, aby wszyscy robotnicy zebrali się na tzw. „zakurkę” (zapalić papierosa).

Główny komendant NKWD – wobec wszystkich robotników ogłosił „siewodnia balszaj praznik”, ponieważ – jak mówił: „Przed nami stoi człowiek, który jest wybawicielem naszych ludzi, tj. dwunastu ludzi wziętych do niewoli, w tym jeden towarzysz jest obecnie w NKWD...”. I wskazał na tego, który rozpoznał tatusia. Współrobotnicy zaczęli ścisnąć dłoń tatusiowi z radością, że spotkało go takie szczęście. Komendant NKWD kazał przerwać robotę, a tatusia zabrali do swego kantorka na przyjęcie.

* * *

W 1942 roku cała nasza rodzinę przewieziono do miejscowości Lipowik. Tatuś wraz z braćmi pracowali przy spławianiu drzewa nad rzeką Dwiną rozbijając lód, by uwolnić kłody drzewa, które były spławiane rzeką podczas lata. Sposób ich wydobywania był też tyleż prosty ile niebezpieczny. Polegał na tym, że rozsypywano dynamit na wyznaczonym kawałku lodu a potem następował wybuch. Kłody drzewa pod wpływem wstrząsu zagłębiały się aż do dna rzeki. Te kłody były wielkie i grube, od 60-80 cm, długie. A kiedy wypływały na powierzch-

⁶ Oczywiście chodzi tu o wojnę polsko-bolszewicką (1919-1921), a nie I wojnę światową (1914-1918).

nię trzeba było bardzo się spieszyć i wylawiać je bosakami. Bardzo często biedaki wpadali do lodowatej wody. Ubrania zamarzały a lód osiadał na rękach, a nogi ślizgały się po lodowatych pniach. Tak musieli pracować po 12 godzin dziennie, pokrywa lodu sięgała do 60 cm. Kłody te były przeznaczone do budowy kopalni i fabryk. Mimo ciężkiej roboty i choroby nas, tatusia wciąż inwigilowano i przesładowano w NKWD, poprzez krótsze, bądź dłuższe zatrzymania w aresztach. Chodziło oczywiście o jego udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku i obciążający status osadnika wojskowego. NKWD zabrało tatusia na przesłuchania do Rejonu, gdzie został aresztowany i osadzony w tamtejszym więzieniu.

Potęga władz sowieckich była absolutna. Takimi były szczególnie więzienia stalinowskie kierowane przez tajną policję NKWD. Mamusia była bardzo załamana, mdlała z rozpaczy, że spotkała nas ponownie taka tragedia. Gdy przyszła do siebie po wstrząsie, wywołanym aresztowaniem tatusia nie mogła opanować szoku spowodowanego zupełną utratą wolności i swobody. Nasze cierpienia nasiliły się znów, wczesną wiosną zaatakował nas znów dyfteryt i malaria, to było coś strasznego. Mimo to pracowaliśmy ze wzmożonym wysiłkiem, by poza własnym utrzymaniem móc podać tatusiowi do więzienia trochę żywności.

Mama prosi nas – dzieci kochane musimy pracować, nie załamujemy się, wierzę, że Opatrzność Boska czuwa nad nami. Byliśmy bardzo słabi, wychudnięci, aż strach patrzeć jedno na drugie.

Zbliżało się lato, a my liczyliśmy, że słońce doda nam sił. W lesie pojawiły się dzikie porzeczki, smorodzina, maliny, jagody, żurawina. Jesteśmy szczęśliwi, że nareszcie możemy odżywić wygłodzony organizm. Ale trwało to bardzo krótko, bo nie było większego urodzaju.

Pewnego dnia kiedy układamy się do snu, ktoś zapukał do drzwi. Pukanie to było ciche, nieśmiałe i wzbudzało w nas lęk. Mamusia zapytała „Kto tam?”. „To ja, otwórz”. Gdy otworzyła drzwi, nie uwierzyła własnym oczom! Myślała, że to sen, a to był nasz tatuś w okropnym stanie wycieńczenia, to był jedyny promyk słońca w naszej ponurej rzeczywistości.

Gdy się umył, to każde z nas chciało go karmić, aby był silny i zdrowy, aby nam tylko nie zachorował. Opowiedział nam później, że sprawdzali wszystkie zarzuty przeciwko niemu, ciągle go przesłuchiwali, ale nic nie udowodnili więc został zwolniony z aresztu.

Podczas nieobecności tatusia każde z nas miało swoje zadania do wykonania. Mamusia pracowała przy kuchni w stołówce, a starsze siostry w polu i w oborach. Bracia pracowali przy spławie drewna rzeką. Mnie z młodszym rodzeństwem i innymi dziećmi zabierali w pole, aby zbierać żuki do butelek – były to szkodniki upraw polowych. Kiedy było zimno to obieraliśmy ziemniaki w kuchni lub myliśmy naczynia.

W 1943 roku rozpoczęto formowanie I Korpusu Wojska Polskiego⁷. Na rzece Dwinie wylądował samolot, ponieważ była skuta lodem. My dzieciaki biegaliśmy nad brzeg rzeki, by zobaczyć, jak wygląda samolot na saniach. Wielu mężczyzn i kobiet szło do tego samolotu, gdyż przyleciała nim Wanda Wasilewska i jacyś funkcjonariusze, żona premiera ukraińskiego Rządu Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Była ona wówczas wielką patriotką polską.

W tych okolicach było duże zgromadzenie obozów pracy dla Polaków, z którymi spotkała się Wanda Wasilewska, informując zebranych o utworzeniu polskiej dywizji piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Po spotkaniu z W. Wasilewską i odlocie samolotu była u nas w domu wielka awantura. Utkwiły mi w pamięci słowa tatusia, który tłumaczył mamusi, że nie powinna płakać, bo jak on pójdzie z chłopakami na front, to nam pozostałym będzie lepiej. Mówił: „Ja, Zygmunt i Mietek zostaniemy zmobilizowani, chyba że mnie nie zechcą wziąć. Ja jednak i tak pójdę na ochotnika!”. Brat Zygmunt został zmobilizowany, a brata Mietka komisja odrzuciła i kazała jeszcze rosnąć i nabierać wagi. Tatusia nie chcieli wziąć, ponieważ miał dużą rodzinę i małe dzieci. Ale tatuś się uparł, poszedł do dowódcy i prosił go z płaczem, aby pozwolił mu otrzymać wezwanie do wojska. Powiedział nawet: „Jak mi nie pomożecie to popełnię samobójstwo!”. Dowódca zobaczył u tatusia przy płaszczu guziki z polskim orłem. Poprosił, by mu je tatuś sprzedał, to mu załatwi wezwanie. Tatuś nie zastanawiając się długo poprosił o nóż i odciął wszystkie guziki, jakie tylko miał przy płaszczu. Następnie oddał je dowódcy nie czekając na żadną zapłatę.

Tatuś wraz z najstarszym synem Zygmuntem jako ochotnicy zostali przyjęci do wojska w sierpniu 1943 roku. Przeszedł cały front wraz z synem Zygmuntem od Leniono do Berlina. Naszą wielodzietną rodzinę przewieziono do kolchozu, gdzie miało być lepiej w nagrodę za to, że ojciec z synem poszedł na front. Tak nam przynajmniej tłumaczono. Jak wszystko w sojuszu, tak i to okazało się gołosłowną propagandą, gdyż już wkrótce zaczęto nam przydzielać coraz mniej prowiantów. Wczesną wiosną zbieraliśmy lebiodę, pokrzywę, wszelkie zioła jakie pokazały się na powierzchni ziemi. Mama gotowała zupę i piekła placki na piecu, ratowała nas jak mogła wszystkim, co tylko było przydatne do jedzenia, byśmy nie poumierali z głodu w tajdze syberyjskiej.

Mama próbowała rozpaczliwie dorabiać, murując w okolicznych wsiach piece, naprawiała wałce kominy oraz szyjąc i naprawiając worki i odzież w kolchozie.

⁷ I Korpus (tzw. armię Andersa) sformowano w 1941 roku. W 1943, po ewakuacji Korpusu zaczęto formować Dywizję Kościuszkowską, która była załącznikiem I Armii Wojska Polskiego.

Ludzie kolchozu podziwiali nas, że tak liczna gromadka, a żadnego dziecka nie widać, ani nie slychać żeby gdzieś zebrało albo okradalo kogoś. Mamusia wychowywała nas w duchu religijnym. O naszej rodzinie slychać było daleko. Z drugiego kolchozu przyjechała żona przewodniczącego z prośbą, by mamusia dała dwie córki do niej na służbę. Ja z siostrą Terenią zostałyśmy oddane na służbę do dzieci w sąsiednim kolchozie, ale też byłyśmy przecież dziećmi, nie zagrzałyśmy więc tam długo miejsca. Pamiętam, że jechaliśmy bryczką, było bardzo ciepło, zapach woni kwitnących sadów unosił się w górę. Było bardzo pięknie jak gdyby nic się nie działo. Podróż trwała około 3 godzin, a podczas podróży pani Wasiljewna wypytywała nas skąd jesteśmy, z jakich okolic Polski? pani Wasiljewna była bardzo miła. Pokazała nam swój dom, a w nim 4 pokoje, dużą kuchnię z wnęką, gdzie mieściła się łazienka, tzw. bania. Na ścianach wisiały duże obrazy Lenina, Marksa i Dzierżyńskiego. Obrazy te były rozmieszczone w koło złotej ramy, a obok pięknie haftowane ręczniki z białego lnu. Kazała nam się wykąpać, podała świeże ubrania i poprosiła do stołu. Częstoowała nas placzkami tzw. szaugami, bielutkimi z miodem oraz podała kakao z mlekiem. Myśmy się zajadały i płakały, że naszego rodzeństwa nie ma z nami.

Siostrę Terenię gospodyni zostawiła u siebie, a mnie przekazała kuzynce Tamarze, mieszkającej trzy budynki dalej, która miała 2-letniego Saszę. Posiadała ona duży ogród, 10 kur i 10 małych kaczek. Pani Tamara bardzo mnie polubiła, bo choć byłam małym dzieckiem, to zawsze posprzątałam i wstawiałam świeże kwiaty do wazonu.

Pewnego razu, gdy było ciepłutko wzięłam Saszę i poszłam z nim do sadu, gdzie były te kaczuszki, takie śliczne, żółciutkie. Zaczęliśmy się z nimi bawić, aż „zabawiliśmy” je na śmierć. Poukladaliśmy je rzędem, a pod wieczór poszłam z Saszą obudzić kaczuszki na kolację, które oczywiście ani drgnęły! Były całkiem sztywne... Oboje z Saszą bardzo płakaliśmy po kaczuszkach, że nie mogły wstać. Wtedy przypominałam sobie to zmarłe dziecko w wagonie, które matka trzymała sztywne na rękach przez kilka dni, bo NKWDzista nie pozwolił je pochować. Bardzo płakałam i bałam się wrócić z Saszą do domu. Pani Tamara była zniecierpliwiona, że nas tak długo nie ma, zaczęła więc nas szukać i wołać. Przyszła do nas i spytała, co się stało? Dlaczego tak płaczemy? Pokazałam jej kaczuszki, które wciąż nie chciały wstać. Miałam wtedy 7 lat. Pani Tamara uspokoiła nas i zabrała do mieszkania. Nazajutrz zapakowała moje rzeczy w tobołek, dodając do nich trochę słodyczy, a następnie wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do siostry Tereni, która mnie skarciła i groziła, że wszystko opowie mamusi. Był to dla mnie ciężki dzień, miałam wyrzuty sumienia, że jestem morderczynią dziesięciorga żółtodziobych kaczuszek.

Pod koniec 1943 roku ludzie coraz częściej zaczęli chorować na tyfus i malarię. Bardzo baliśmy się tych chorób, bo cóż począć z tak liczną rodziną,

bez żadnych środków do życia? Podtrzymywaliśmy się wzajemnie na duchu, jedno drugiemu dodawało sił, aby przeżyć dzień dzisiejszy, a jutro może będzie lepiej. Niestety, choroba nie wybiera...

Stała się nam najgorsza krzywda, jaka nas mogła spotkać na Syberii, a mianowicie – tyfus plamisty. Mimo, że mamusia bardzo nas pilnowała i robiła wszystko, by uniknąć choroby, to niestety – zachorował brat Mietek i siostra Lila. Mieli bardzo wysoką temperaturę, dochodzącą do 41°C. Ta choroba oznaczała się właśnie wysoką temperaturą, plamami na całym ciele i tak silnym głodem, że trudno było wytrzymać. Gdy zabrakło chleba, to mamusia zbierała pozostawione w polu po wykopkach ziemniaki. Dodawała do nich buraki, domieszała trochę mąki i piekła na płycie kuchennej, by nas dokarmić. W kolchozie rozeszła się wieść, że jesteśmy chorzy na tyfus. Przewodniczący kolchozu przysłała komisję, by sprawdziła, jak faktycznie jest. Komisja sprawdziła stan naszej rodziny i przekazała informację przewodniczącemu, który zaraz kazał zaprzęgać konie do sani, owinąć chorych w koce i szybko odstawić do szpitala. Zabrali więc brata Mietka i siostrę Lilę, ale gdy się oni zorientowali, że tylko ich samych wiozą, uciekli woźnicy z połowy drogi z sań, krzycząc, że nie zostawią rodziny ruskim na poniewierkę. Gdy wrócili do domu wszyscy byliśmy przerażeni, co się teraz z nami stanie, tacy byli zmarznięci i zmęczeni. Jedna Rosjanka powiedziała, że z tyfusem można chodzić nawet przy temperaturze 44°C, ale koniecznie trzeba jeść, bo z głodu można całkiem paść. Przewodniczący kolchozu sam przyszedł zobaczyć i stwierdził, że całą rodzinę trzeba odwieźć do szpitala, gdyż choroba rozprzestrzenia się coraz bardziej. Przesłał kobietę z kuchni z prowiantem, a mianowicie: mlekiem, chlebem, mąką, cukrem i kartoflami.

Podczas tej okropnej choroby człowiek snuje się jak pijany i ma tak ogromny apetyt na jedzenie, że konia by zjadł, a temperaturę ma coraz większą. Bracia moi byli tacy głodni, że wydzierali sobie jedzenie. Brata Mietka i siostrę Lilę związano i wrzucono do sań, by tym razem nie uciekli. Siostra Terenia była tak słaba, że w ogóle nie mogła jeść. Szpital mieścił się w odległości 25 km od naszej wsi. W domu pozostało nas czworo i mamusia, która opadała coraz bardziej z sił. Zapasy się nam skończyły i nikt nie pracował, bo wszyscy byli chorzy. Mamusia wysłała mnie do gospodyni do kuchni, by nam coś podała do jedzenia, a bracia chcieli zabić kota na pieczeń, ale od nas uciekł z poderzniętym gardłem.

Wróciłam z kucharką i innymi ludźmi, którzy ze mną przyszli, niosąc ze sobą, co kto mógł, by nas ratować od głodu. Jednak ludzie sami nie mieli za wiele, więc mamusia i najmłodsza siostra Lusja były u kresu sił. Ja uskarżałam się na silny ból głowy. Przewodniczący przysłał sanie ze słomą i koce, w które nas poowijano, ułożono głęboko w słomie i zawieziono do szpitala, gdzie już leżeli brat Mietek oraz siostry – Terenia i Lila. Zapamiętałam scenę, gdy przywieziono

nas do szpitala i kazano wychodzić z sań. Ja i bracia wyszliśmy sami, ale mamusia była nieprzytomna, a mimo to w bezsilnych ramionach trzymała kurczowo 4-letnią Lusię. Zaczęliśmy głośno płakać, ponieważ myśleliśmy, że mamusia nie żyje, gdyż zamarzła z naszą siostrą Lusię. Nasz krzyk słychać było w szpitalu. Chorzy, którzy mogli chodzić, zaczęli się zbiegać. Lekarze rozpędzali gapiów, lecz tworzyły się nowe grupki ludzi, którzy szeptali, że przywieziono matkę z dziećmi. W szpitalu już wiedziano, że to rodzina tych dzieci, które przywieziono przed kilkoma tygodniami. Lekarz dyżurny zorganizował szybką pomoc. Przeniesiono nas chorych z sań do sali szpitalnej, któryś z lekarzy spytał o nazwisko, a gdy padło nasze, sanitariuszki powiedziały, że to Polacy. „Cała rodzina ich już tu jest, a matka wciąż nie odzyskuje przytomności...”. Usłyszała te słowa siostra Teresa, która czuła się już lepiej, choć nie mogła chodzić, bo tyfus odebrał jej władze w nogach, i pelzała na czworakach. Zaczęła przeraźliwym głosem wołać: „Mamusi, tu jesteśmy!”. Lekarze chwycili ją i zanieśli na łóżko, myśląc, że zwariowała. Chcieli ją nawet przywiązać do łóżka, widząc to siostra Lila uspokoiła Teresę, wołając do lekarza: „Czy to prawda, że mamusia jest w szpitalu?”. Lekarz kiwnął głową, bo słowa nie mógł wymówić.

Lekarz dyżurny nakazał całą naszą rodzinę położyć w oddzielnej sali. Zrobiło się zamieszanie, wszyscy biegali, przesuując łóżka z chorymi. Prawdopodobnie telefonowano z Archangielska, więc lekarze zrobili krótka odprawę z personelem, aby tej polskiej rodzinie nie uczyniono żadnej krzywdy, ponieważ jej ojciec wraz z jednym synem poszedł na ochotnika na front. Zapowiedzieli, żeby ich ratować tak, by wyszli stąd zdrowi. Byliśmy więc razem w jednej sali, to jest siedmioro dzieci i mamusia.

Wkrótce przyjechała kontrola wojskowa, chodzili po wszystkich salach i sprawdzali stan chorych. Gdy weszli do naszej sali, to niektóre siostry płakały – widać było u nich lzy żalu, bo tu leży matka z licznymi dziećmi. Nasz wygląd był okropny: nie mieliśmy włosów na głowie, bo powychodziły przez tyfus. Brzuchy mieliśmy opuchłe, cała reszta wychudła. Zaczęto o nas bardzo dbać, podawano zastrzyki i tabletki, a pożywienie polepszyło się. W szpitalu leżeliśmy ponad miesiąc czasu. Przechodziliśmy ciągle kontrole i badania. Komisje przychodziły i wypytywały nas, jak się nami opiekują lekarze i pielęgniarki. Byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy wszyscy razem i mamy przy sobie kochaną mamusię.

Wieczorami modliliśmy się i śpiewaliśmy pieśni. Wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy” a rano „Kiedy ranne wstają zorze”. Chorzy, a także pielęgniarki słysząc nas, stawali w drzwiach i w milczeniu słuchali, a później pocieszali nas, że wojna się skończy i wrócimy do swojej Ojczyzny.

W tym czasie, gdy mamusia poczuła się lepiej i mogła chodzić, została zaproszona przez starszą pielęgniarkę do jej gabinetu. Tam dała jej różne rzeczy

dla dzieci od siebie i koleżanek, które zebrały wśród siebie nieco słodyczy. Zaczęła potem rozmawiać z mamusią i opowiedziała jej wszystko, co tu się działo, gdy nas przywieźli do szpitala. Mówiła, że dyrektor szpitala kontaktował się z główną kwatera w Archangielsku. W kilka dni po tej rozmowie była inspekcja i cały szpital stanął na nogach.

Do domu odwieźli już brata Mietka i Leona oraz siostrę Lilę i mnie, ponieważ już wyzdrowieliśmy. Mamusia musiała jeszcze pozostać w szpitalu z młodszym rodzeństwem, a siostra Terenia w ogóle nie mogła chodzić, cierpiąc na bezwład nóg. Musiała dużo leżeć zanim rozpoczęła samodzielne chodzenie. Siostra Lusia była wątła jak pajęczynka i trzeba ją było dobrze odżywiać. Dawano jej dużo zastrzyków, aby mogła wstać o własnych siłach. Brat Romek prawie stracił mowę i bardzo się jąkał przez tą okrutną chorobę – tyfus.

Dyrektor szpitala był bardzo dobry dla nas. Sprowadzał z frontu leki przez Czerwony Krzyż, a jak się później okazało, jego matka urodziła się w Polsce – stąd ta troskliwa opieka.

Po powrocie ze szpitala bracia Mietek i Leon oraz siostra Lila poszli do pracy. W kolchozie był już inny przewodniczący i wszystko się zmieniło. Nastaly inne czasy tylko ludzie pozostali ci sami. Było już trudniej o prowiant dla nas pozostałych w domu. Ludzie przynosili czasem co mogli, ale to wszystko było za mało po tak ciężkiej chorobie. Po trzech tygodniach wróciła ze szpitala mamusia wraz z najmłodszymi dziećmi. Bardzo się cieszyliśmy, bo przywiozła ubrania i dużo słodyczy. Mietek i Lila zaczęli opowiadać o tym, jak przewodniczący wstrzymał nam przydział kartek i opału, tak że było zimno i głodno. Mamusia cierpliwie wysłuchiwała naszych narzekania, a następnego dnia wybrała się do przewodniczącego kolchozu.

Dzień ten był pełen złowieszczych zapowiedzi, wychodziła więc ze ścisniętym od bólu sercem i żalem, że tak zostaliśmy skrzywdzeni. Zabrała ze sobą naszą siostrę Lilę i kij, którym się podpierała. Przewodniczący zapytał: „W jakiej sprawie przychodzisz?”. Mamusia spytała go, dlaczego wstrzymał przydział prowiantu i opału dla jej dzieci, które wróciły po ciężkiej chorobie ze szpitala (tyfus plamisty). Po wypowiedzeniu tych słów mamusi zrobiło się zimno, ostry chłód smagnął ją po oczach i przeszył pierś. Zabrakło jej tchu, nogi jej zdrętwiały i osunęła się na ziemię. Siostra Lila zaczęła wołać: „Ratujcie mamę!”. Mama jednak ocknęła się sama po chwili, zaczerpnęła powietrza i znów zaczęła mówić: „Moje dzieci muszą się odżywiać po ciężkiej chorobie!”. Przewodniczący odpowiedział: „U nas w Sojuszu tak jest, kak nie rabotajesz to nie kuszajesz. Ujdzi zdieś, ja s tobol nie budu gawarić”. Na te słowa mamusi wszystko pociemniało w oczach i zakolysała się, ale przemagając nerwy krzyczała ostatkiem sił i uderzyła w stół kijem, aż pękł. Zagroziła: „Jak nie dasz prowiantu moim dzieciom, pobiję cię!

Nie masz prawa wstrzymywać mi przydziału. Mój mąż poszedł ochotniczo na front wraz ze starszym synem!”.

Przewodniczącego ogarnął strach więc powiedział: „Idź spokojno damoj, wsio budiet wam dane”, tzn. idź do domu wszystko otrzymasz czego żądasz. Mamusia jednak nie ustąpiła i powiedziała, że nie wyjdzie, dopóki nie zobaczy, jak wyda rozkaz pracownikom stołówki. Przewodniczący kazał wezwać szefowa kuchni i polecił jej wydać dla całej rodziny żywność i opał, który mamusia potem dzieliła oszczędnie, by starczyło na jak najdłużej.

W 1944 roku, kiedy Wojsko Polskie wkroczyło już na tereny Polski wschodniej, przetransportowano nas z całą rodziną na Ukrainę, do „połtawskiej oblasti”. Tam pracowaliśmy w sowchozie, gdzie było trochę łez. Dawano 500 g chleba i kartofli. Zarządzający sowchozem powiedział, że choć spotkało nas wielkie nieszczęście – wojna, to nie powinniśmy ani przez chwilę wątpić, że wkrótce wrócimy do swojej Ojczyzny, a co do obecnej chwili – możemy być spokojni. Tu znajdziemy chleb i opiekę taką, na jaką tylko będzie ich stać. Wszyscy Polacy byli wzruszeni do łez, a każdy na swój sposób przeżywał swój smutek. Potem mamusia poprosiła o głos i powiedziała, że dziękujemy za gościnność i doceniamy ich dobre serca, obiecując w zamian, że kto żywy i zdolny, pójdzie z innymi pracować.

Pracowaliśmy od rana do wieczora, usuwając motykami zielsko, a słońce i skalista ziemia nie litowały się nad nami. Mamusia gotowała nam kluski różnego rodzaju z pokrzywami i lebiodą, a gdy brakło tego zielska, to zbierała łąciny ziemniaków, które były jeszcze gdzieś niedługo i mieszała je z mąką, wyrabiając tzw. szangi (placki) i dokarmiała nas, byśmy nie opadli z sił. Podczas drugiej mobilizacji powołano do wojska przewodniczącego sowchozu. Sowchoz pozostał bez mężczyzn, powiało smutkiem i pustką. Zostali tylko starcy i podrostki. Był sierpień, gdy kombajny zbierały dojrzałe zboża. Aż trudno było uwierzyć, że te ogromne maszyny były kierowane przez słabe kobiety i młodych chłopców.

Z frontu wieści były niedobre, coraz częściej przychodziły zawiadomienia o śmierci żołnierzy. O naszym ojcu i bracie nie było wiadomości. I było tak, jakbyśmy znajdowali się na pełnym morzu, gdzieś na jednej wyspie, a gdzieś tam w oddali toczy się potworna wojna. Faszyci jakby chcieli wymordować wszystkich bez wyjątku ludzi i zniszczyć wszystko, co znajduje się na ziemi.

Przyszła wczesna jesień, a wiatr rozpoczynał pląsy na pustym stepie. W izbach zimno. Widać tylko gwiazdy iskrzące się na niebie. Często krople deszczu smutno dzwonią na szybach. Ludzie z sowchozu ze współczuciem spoglądali na naszą gromadkę. Brakowało ciepłych ubrań więc często chorowaliśmy. Byliśmy niewytrzymali na zimno, otoczono nas wyrozumiałością i czym tylko mogli, okazywano nam życzliwość. Dawano też odzież i żywność. Ciągłe czeka-

liśmy na wiadomości z frontu od tatusia i brata. Wciąż słyszeliśmy, że organizują suchy prowiant dla frontu z magazynów, gdyż wojna pochłania wszystko, jak konie i bydło. Brak zaopatrzenia w podstawowe artykuły pierwszej potrzeby.

Strach nas ogarniał na myśl, co będzie, jak tu dalej żyć, bowiem nasza sytuacja nie wróżyła nic dobrego. Narastał wrogi stosunek do Polaków i ciągle nas o coś podejrzewano. Byli nawet tacy, którzy śledzili polskich robotników. Każdy był zaskoczony zmianą sytuacji, jaka nastąpiła. Pewnego razu przewodniczący sowchozu, 70-letni staruszek, nakazał zwołać wszystkich Polaków do świetlicy, w której czekał jakiś funkcjonariusz. Przedstawił on jakiś duży papier i kazał każdemu podpisać zgodę na wydanie dokumentu stwierdzającego pobyt w tej miejscowości. Ludzie zaczęli protestować, prosząc o wyjaśnienie, co to znaczy? Funkcjonariusz zdenerwował się, że Polacy są tacy sprytni, zwinął więc wszystko i przedłożył małe kartki. Prosił grzecznie o podpis i wyjaśnił, że kartka która trzymają, będzie ich paszportem, na podstawie którego będą mogli legalnie przebywać na terenie Związku Radzieckiego. Pewien staruszek z grupy Polaków powiedział: „Jak my podpiszemy te kartki, to tym samym rzekniemy się obywatelstwa polskiego, przyjmując ruskie!”.

Wszyscy się zbuntowali i nikt nie chciał złożyć żadnych podpisów. Po tygodniu znów przyjechali jacyś funkcjonariusze z NKWD i zaczęli namawiać rodziny mające dużo dzieci, aby je oddali do ochronki, gdzie będą miały lepszą opiekę, a po skończeniu wojny wrócą do swych rodziców. Dotyczyło to również nas, ale mamusia nie zgodziła się oddać dzieci. Powiedziała, że jeśli mamy zginąć, to chce ginąć razem z nami.

Przewodniczący sowchozu nakazał, aby dziewczęta przyszły udekorować świetlicę, gdyż przyjadą goście z rejonu Połtawy. Ja z dziewczynami i chłopakami sprzątałyśmy dużą świetlicę, w której trzeba było odświeżyć posadzkę z gliny. Do wiadra wkładaliśmy krowi nawóz i glinę, a następnie mieszałyśmy z wodą i wiechciem rozprawdzaliśmy po podłodze. Po wyschnięciu podłoga wyglądała ładnie i była w kolorze zgnilej zieleni. Następnie przystrojono okna zielonymi gałęziami, a długi stół przykryto czerwonym płótnem. Przewodniczący był zadowolony i pochwalił nas, że tak ładnie przystroiliśmy świetlicę.

Z urzędu rejonowego Połtawy przyjechał funkcjonariusz NKWD, po czym zwołano wszystkich Polaków zamieszkałych w sowchozie i robotników. Na tym spotkaniu omówiono sprawy robocze. Jako restrykcję za tę postawę zabroniono Polakom spotkań grupowych a nawet rozmów po polsku. Ostrzeżono, że w przypadku nie zastosowania się do zarządzenia, stosowane będą surowe kary. Wszyscy Polacy obecni na zebraniu przyjęli to z przykrością. Nie dość, że wygnani z ojczystego kraju na Syberię, przeżyli tyle nieszczęść, to jeszcze odbierano im polską mowę. Mieliliśmy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który towarzyszył

nam z Polski na Sybir. Uklękliśmy razem z mamusią i modliliśmy się, aby Matka Boska wzięła nas w swoją opiekę i towarzyszyła w życiu codziennym.

Pamiętam dzień, kiedy siedzieliśmy cicho, dookoła zrobiło się ciemno i nigdzie nie było widać najmniejszego światełka. Cisza była złowróźbna, kryjąca w sobie śmierć. Zaczęliśmy się modlić i powtarzać słowa wymawiane przez mamusię. W modlitwie prosiliśmy Boga i Matkę Boską o opiekę i szczęśliwy powrót tatusia i brata Zygmunta z frontu. W tym momencie usłyszeliśmy jakieś szepoty i przyciszone spieszne stąpania, a następnie pukanie do drzwi, podpartych kolkiem. Mamusia spokojnie zapytała: „Kto tam?”. Za drzwiami odpowiedział głos: „NKWD”. Mama otworzyła drzwi, trzymając w ręku kolek, mówiąc do nas, byśmy się nie bali, bo Bóg jest z nami.

NKWDziści usłyszeli te słowa (było ich trzech). Jeden chwycił mamusię za ramię, a dwaj stanęli z bronią na wprost nas. Mamusia była dzielna więc się wyrwała i trzymanym kolkiem zamierzyła się na NKWDzistów. Wskazała na obraz i spytała ich: „Czy wy nie macie ojca i matki? Czy oni nie mówili wam, że jest Bóg?”. Krzyknęła jeszcze głośniejsze: „Tylko spróbuj który skrzywdzić moje dziecko, to żywi stąd nie wyjdziecie! Mój mąż z synem poszli na ochotnika walczyć z faszystą na front Związku Radzieckiego. Won od nas!”. I wskazała drzwi wejściowe. NKWDziści spojrzeli po sobie odpowiadając, że teraz nas rozumieją, ale to jest rozkaz.

Jeden z nich przy wyjściu odchylił klapę swego szynela i pokazał, że gdy odchodził na wojnę, to jego babuszka wszyła mu tam medalik z Matką Boską. Zwyciężyła Opatrzność boska, od tej pory nikt już do nas nie przychodził. W takich to czasach smutków, zmartwień, porywów i radości ze zwycięstw, w tych czasach ciężkiej pracy, cierpienia głodu, braku dachu nad głową zbliżała się wiosna – te dobroczynne ciepłe promienie słońca.

W baraku ulepionym z gliny mieszkaliśmy całą gromadką w jednym pomieszczeniu. Były tam dwa żelazne łóżka i dużo słomy na podłodze. Poza tym koce, poduszki ze słomą i duże worki do napychania słomą jako sienniki. Ach, jakże często wspominaliśmy domowe łóżka, pierzyny puchowe i poduszki, których teraz tak nam bardzo brakowało. Te, które zabraliśmy ze sobą, trzeba było wymienić za żywność, by ratować zdrowie w głębi Syberii. W tym baraku stał duży piec do gotowania, a dalej w głębi na podwyższeniu około metra stał drugi piec, na którym spaliśmy my, dzieci; na łóżkach spała mamusia i starsze siostry. Brat Mietek miał posłanie na ławie przy stole.

Najgorszą katorgę odczuliśmy, gdy w momencie zasypiania słyszeliśmy przeraźliwe skrobanie w dziurawych ścianach oraz pląga robactwa. Z dziur wychodziły ogromne szczury z cienkimi ogonami, jeden po drugim. Biedna mamusia wraz z bratem Mietkiem walczyli z tymi gryzoniami aż do świtu. My prze-

rażliwie krzyčeliśmy z pieca, aby je odstraszyć by do nas nie wskoczyły. Dziury zalepiliśmy gliną pomieszaną z tłuczonym szkłem. Niestety, to nie pomagało, gdyż wciąż robiły się nowe dziury. Okropnym widowiskiem, którego nie mogliśmy uniknąć, były walki między gryzoniami i wzajemne zagryzanie się na śmierć z powodu braku pożywienia. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i pędzić życie koczownika, żyć tak, jak życie szło...

W sowchozie było coraz ciężiej. Bydło robocze zabierano na front, a co silniejsze kobiety same zgłaszały się na ochotnika do służby wojskowej.

Wojna skończyła się – milionów ofiar i ogromu nieszczęść nie da się odwrócić, ale – przerwało już się pasmo tych okropności i zaświtała nadzieja lepszego jutra.

Rok 1946 przyniósł nam szczęśliwy powrót do Polski. Czasy były bardzo niespokojne, a w powrotnej drodze mieliśmy wiele przygód. Pociągi były przepełnione wojskiem wracającym z frontu. Wszyscy byli obdarci i kipiący złością. Większość spała stłoczona siedząc lub stojąc; szczęśliwy, komu udało się usiąść ze skulonymi nogami. Stojący spali opierając głowy jedni drugim na plecach. Było wielu chorych, którzy bredzili przez sen. My ze swą gromadką siedzieliśmy skuleni w kącie wagonu, tuląc się jedno do drugiego razem z mamusią. A jednak byliśmy bardzo szczęśliwi, że jedziemy, że niedługo zobaczymy się z ukochanym tatusiem i bratem Zygmuntem. Pociągi na dużych stacjach witane były przez ludność polską chlebem i solą. Nasza podróż dobiegła końca we Wrocławiu.

Bardzo dużo rodzin przetransportowano na samochody i zawieziono do punktu zbiorczego PUR na Psim Polu. Tam ulokowano nas i wiele innych rodzin w olbrzymiej sali, gdzie każda rodzina miała swój kąt. Ponieważ było nas ośmioro, przydzielono nam dwupiętrowe łóżka z pościelą i jedno rozkładane dodatkowo. Po każdą rodzinę zgłaszał się ktoś po odbiór, tylko my czekaliśmy na sygnał od tatusia. W PURze był taki zwyczaj, że rano i wieczorem cała sala modliła się.

Po miesiącu czasu mamusia zostawiła nas pod opieką komendanta, a sama pojechała do rodziny w warszawskie po starszą córkę, a naszą siostrę Polę. Podróż miała bardzo ciężką – dwa tygodnie. Gdy zajęła do rodziny to oczom nie chcieli wierzyć, że udało nam się wrócić cało z tak liczną gromadką dzieci z Syberii.

Mama opowiedziała im wszystko i poprosiła o pomoc w odnalezieniu tatusia. Brat mamy, który wrócił ranny z frontu (a był pilotem), pojechał do Czerwonego Krzyża złożyć informację, że rodzina czeka w PURze na Psim Polu we Wrocławiu. Jak się okazało, tatuś został zdemobilizowany rozkazem Ministra Obrony Narodowej w dniu 18 sierpnia 1945 roku i był u rodziny w Warszawie, a potem zabrał córkę i wyjechał na Zachód. Po powrocie do Wrocławia mamusia się rozchorowała. Pogotowie ratunkowe zabrało ją do szpitala a my zostaliśmy sami. Komendant PUR zapisał nas do szkoły. Młodszy zaczęli I klasę, a starsi po-

szli już do IV klasy szkoły podstawowej. W szkole dano nam fartuchy i tran do picia. Byliśmy bardzo zadowoleni, ponieważ podobał nam się Wrocław, gdzie chodziliśmy na szkolne wycieczki. Komendant PUR był bardzo dobrym człowiekiem, troszczył się o nas, gdyż byliśmy spokojni i grzeczni. Robiliśmy wszystko co tylko kierownictwo od nas wymagało. Ustalono nawet, że gdy mamusia wyjdzie ze szpitala, to otrzymamy mieszkanie i tu już pozostaniemy.

Pewnego wieczoru, po modlitwie, wszedł do sali komendant z dwoma żołnierzami. Jeden był wysoki i szczupły, z piersią obwieszoną medalami, a drugi niższy, także z odznaczeniami. Komendant PUR-u zawołał głośno, czy na sali znajduje się rodzina Sawickich? Wszyscy zamarli, ludzie wstawali i patrzyli co się dzieje. Bracia, którzy grali w karty przy głównym stole z młodzieżą, dobiegli i zawołali: „Tatusiu, bracie, jesteśmy wszyscy tutaj!”. My zaś, jak te mrówki zaczęliśmy biec jedno za drugim na powitanie kochanego tatusia i brata Zygmunta. To przeżycie było dla nas czymś, czego nie można opisać.

Ileż to lat upłynęło od roku 1943 do lipca 1946? Przecież żadnej wiadomości przez ten czas nie otrzymaliśmy! Na sali rozszedł się szmer, ludzie płakali, podchodzili z wyciągniętymi rękami witając ojca i brata oraz głaszcząc dzieci, których matka leżała ciężko chora w szpitalu. Myśmy obstąpili tatusia i brata, płacząc bardzo, ale były to łzy szczęścia, że wreszcie jesteśmy wszyscy razem. Sam komendant nie mógł wstrzymać łez. Powiedział, że na górze ma pokój gościnny, w którym tatuś z synem mogą się chwilowo zatrzymać. Tatuś jednak podziękował i z synem Zygmuntem poszedł do szpitala zobaczyć się z mamą. Gdy mamusia usłyszała od dyżurnego lekarza, że ma gości, to szybko się obudziła i ujrzała przy łóżku swych bohaterów, męża wraz z synem. Ileż to było radości! Chyba z wrażenia na widok tatusia od razu poczuła się zdrowa i już następnego dnia chciała wyjść ze szpitala.

Po załatwieniu wszystkich formalności, w dniu 9 lipca 1946 roku tatuś urządził pożegnanie z komendantem PUR-u oraz całym personelem i ludźmi przebywającymi z nami na sali. W następnym dniu samochodem odwieziono nas na dworzec PKP Wrocław i pojechaliśmy do stacji Godków koło Chojny. Tam zabrano nas z pociągu na wóz konny i zawieziono do miejscowości Moryń. W Moryniu kazano nam zejść z wozu i wybrać dom, który nam się najbardziej spodoba do zamieszkania na stałe. Dom, który wybraliśmy, miał bardzo ładny wygląd, był piętrowy z dużymi oknami, a przy domu rosły dwa duże krzewy głogu z opadającymi gałęziami czerwonych kwiatów. Z domu wyszła piękna, młoda dziewczyna z długimi włosami ciemno blond i zawołała do nas: „Witajcie, moje kochane Sybiraki!”. Była to nasza najstarsza siostra Pola. Zaprowadziła nas do domu, pokazując 9 pokoi, kuchnię, łazienkę, kuchnię letnią, duże podwórko, a obok duży ogród pełen drzew owocowych. W dużym pokoju stał ogromny stół

a na nim pełno smakolyków. Dookoła stołu stało 12 krzeseł. Wszystko było przygotowane na nasze przybycie. Siostra Pola zrobiła nam kąpiel i każde z nas się ładnie ubrało do stołu.

Dopiero wtedy odczuliśmy, jak byliśmy zmęczeni i wychudli, że strach pa-trzeć było, ale z przejścia nie odczuwaliśmy tego wcześniej. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że po tylu latach jesteśmy wszyscy razem jedenastoosobową rodziną.

Przy uroczystym obiedzie tatuś nas zapytał: „Dzieci, jakie macie życzenia?”. Odpowiedzieliśmy chórem: „Abyśmy zawsze byli razem, by nie zabrakło nam chleba i ziemniaków na stole!”.

Tak zaczęło się nasze nowe życie rodzinne.